



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

Przypomnimy najpierw czytelnikom naszym w kilku słowach, co to jest równowaga i środek ciężkości, chociaż tłumaczyliśmy to już dawniej, przy innem podobnem doświadczeniu. Każdy przedmiot znajduje się w równowadze, gdy opiera się na swoim środku ciężkości, czyli, jeśli ciężar jego jednostajnie jest naokoło rozłożony, a środek ciężkości przytyka szczelnie do ziemi, lub, co na jedno wychodzi, do stołu, do jakiegokolwiek, płaszczyzny, osadzonej mocno na ziemi.

Gdy człowiek naprzykład dźwiga coś ciężkiego na plecach, mimowoli pochyla się naprzód, ażeby ciężar nie przeważał na jedną stronę i jego za sobą nie pociągnął. Środek ciężkości musi być zwrócony zawsze prosto w kierunku pionowym, ażeby przedmiot znajdował się w równowadze, stał mocno, nie wyrócił się na żadną stronę. Mnóstwo też zręcznych i zabawnych sztuczek zależy na tem, aby kilka przedmiotów ustawić jedne na drugich, a wspólny ich środek ciężkości oprzeć bezpiecznie i tym sposobem utrzymać dziwną nieraz budowę w równowadze. W Pizie są słynne wieże pochylone, które w tem położeniu stoją od wieków i wcale nie grożą zawaleniem, bo budowniczy, dla dokazania sztuki zapewne, rozłożył w nich ciężar stosownie do tego kształtu.

Rysunek nasz przedstawia przykład podobnej równowagi łatwy do wykonania. Bierze się kieliszek z wodą, pochyla się go ostrożnie ponad drugim próżnym, a na brzegu jego ustawia się zgrabnie dwa widelce, złączone monetą, wciśniętą pomiędzy ich zęby. Poprobowawszy cierpliwie, znajdziemy w końcu zawsze takie położenie, w którym kieliszek pochylony stanie o własnej sile, w równowadze i woda z niego przelewać się będzie w drugi.

Pamięci Bohdana Zaleskiego.

Gdzie lasy i gaje,
Gdzie bystre ruczaje,
Gdzie pola obszerne,
Gdzie stopy niezmierne,

Gdzie oddech Bojana
Nad łanem się wznosi,
Tam kurhan Bohdana
Wieżę smutną wciąż głosi:

„Hej bracia mójcy, hej ziemi tej syny,
Za waszym, za piewczą płaczcie Ukrainy!”

Śpiewaku serdeczny,
Dań niesiem ci płaczu,
I pokój ci wieczny,
Nasz wieszczu tułacz.
Twa dusza tęskniła
Do ziemi tej twojej,
Dziś twoja mogiła,
Na stepie tu stoi!

Tu u nas, tu z nami, Bohdanie serdeczny,
Na naszym tu stepie bądź pokój ci wieczny!

Niech szumią ci, grają,
Łoziny wierzbowe,
Niech bają, gadają
Ci wichry stepowe.

Niech żal ci nasz szumią te łany faliste,
Niech nuć skowronków piosenki strzeliste.
Bohdanie serdeczny, o mieszkać tu z nami,
Grzej serca nam zziębłe mogiły dumkami!

W twój piersi wieczysty
Żar płonął ognisty,
Miłości żar wielki
Dla twój rodzicielki,
Dla ziemi stepowej,
Krainy dniewrowej.

Nam serce zaskrzepło wśród trudów i znoju,
I nie masz nam życia, i niemasz spokoju!
Więc zostań tu z nami, Bohdanie serdeczny,
Na ziemi tej twojej bądź mir tobie wieczny!

Marta.

BRAT OCIEMNIAŁY

Powieść

Homera Green'a

uwieczniona nagrodą 1500 dolarów w Nowym Yorku.

Przełożył z angielskiego

HENRYK WERNIC.

(Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ VIII.

Ocalenie.

W dniu wznowienia roboty matka Taylor z radością pocałowała swoich synów, udających się o świcie do kopalni. Po ich odejściu krzątała się około gospodarstwa; ale w tym dniu grudniowym była weselsza niż zwykle, nuciła sobie piosenkę o matce i jej dobrym synu, bo i dlaczego by jej nucić nie miała? Wszak i jej synowie byli bardzo dobrzy. Przykładali się z całą gorliwością do utrzymania kółka rodzinnego.

Ciężka była dola biednej wdowy, kiedy przybywszy poraz pierwszy w te okolice, aby się połączyć ze swoim mężem, dowiedziała się nagle, że nieszczęsny wypadek w kopalni przedwcześnie przerwał jego życie. Znalazła się sama jedna z dwojgiem małych dzieci, nieznana, wśród ludzi sobie nieznanym. Pomimo tego ani na chwilę nie straciła

ufności w miłosierdzie Boże, dobroć ludzką i swoje własne siły. Od rana do nocy pracowała na utrzymanie swój rodziny, a tymczasem synowie jej podrastali i ze słabych dzieci stawali się silnymi chłopcami. Nastąpił czas, kiedy i oni zaczęli pracować. Odtąd byli nie tylko prawdziwą jej pomocą, ale i dumą. Jedynym jej teraz życzeniem było przywrócenie wzroku biednemu, ociemniałemu Benjaminowi, a jakkolwiek z powodu braku funduszy na kurację, bardzo odległą była to pożądana chwila, to bądź co bądź z podjęciem na nowo robót z każdym dniem się przybliżała. Dla tego też matka Taylor serdecznie się ucieszyła, dowiedziawszy się o rozpoczęciu pracy w kopalniach. Był to piękny, dosyć ciepły dzień grudniowy, a matka Taylor była sama jedna w domu. Od dawnego już czasu spędzała ona w samotności dni całe, oczekując z niecierpliwością wieczorem powrotu swoich synów. W dniu, o którym mowa, wcześniej przygotowała wieczernę, do której dodała z okazji wznowienia robót parę ulubionych przysmaczków. Kiedy się zmierzchać zaczęło, a w izbie zrobiło się ciemno, usiadła przy oknie, spoglądając na gwiazdy i oczekując swoich chłopców. Wtem nagle usłyszała jakiś huk, domek jej zlekka się wstrząsnął, szyby zadrzały, a talerz, stojący na półce, spadł na ziemię i potłukł się na drobne kawałki.

Zdziwiona tem niezwykłym zdarzeniem, matka Taylor powstała z krzesła, rozglądając się naokoło siebie, poczem spojrzała przez okno. Następnie otworzyła drzwi domku i wyszła przed sień. Ujrzała, że i sąsiadki jej stały przed swymi domkami, a mężczyźni biegli w ciemności.

— Co się stało? — zapytała głośno jednej sąsiadki.

— Musiało się coś zawalić — odpowiedziała zapytana.

— Gdzie? — zagadnęła szybko matka Taylor, przeczuwając jakieś nieszczęście.

— Nie wiem, prawdopodobnie w kopalni Dryden. Wszyscy biegną w tamtą stronę.

Usłyszawszy to, biedna kobieta cofnęła się do izby i upadła na pierwsze krzesło, jakie spotkała. Na chwilę straciła przytomność, lecz tylko na chwilę, poczem nadzieja zawitała do jej duszy. Gdyby nawet kopalnia Dryden rzeczywiście się zapadła, to można było stawić się przeciw jednemu, że jej chłopcy już ją opuścić musieli. Powinni byli nawet już się znajdować w domu. Nie wiedząc, co czynić, zatrzymała się jeszcze chwil kilka, poczem, zarzuciwszy na siebie dużą, grubą chustkę, wybiegła z izby. Dobrze wiedziała, którądy chłopcy powracali od roboty. Postanowiła wyjść na ich spotkanie. W drodze ujrzała bardzo wielu ludzi, biegnących w stronę kopalni, a jednego tylko, który ztamtąd powracał; ale ten biegł po lekarza i nie miał czasu rozmawiać. Matka Taylor, trapiąca niepokojem, przyspieszyła kroku. Chciała być jak najprędzej na miejscu, lecz nie mogła podążyć za ludźmi, którzy w ciemności ją mijali. Wkrótce cała droga, prowadząca od jej domu do kopalni, zarojła się ludźmi.

Kiedy zbliżyła się do wejścia kopalni, ujrzała na spadziści mnóstwo światła. Były to lampki górników, przybawających na ratunek. Tłum coraz bardziej się powiększał. Kobiety płacząc i narzekając mijaly ją i popychały. Weszła na zrab spadziści i zbliżyła się do sznura, który zaciągnięto do celu powstrzymania tłoczących się ludzi, a schwyciwszy zań rękami, stała w niespokojnym oczekiwaniu. Mogła ztąd widzieć właściwe wejście do kopalni i wszystkich, którzy z niej wychodzili. Kilkudziesięciu ludzi z oskardami i szpadlami jechało po spadziści na wózkach i wkrótce zniknęło w ciemności. Była to już druga partya górników, spieszących na ratunek. Dziwne myśli przechodziły po głowie matki Taylor; chciała już prosić robotników, żeby ją wzięli z sobą, gdy wtem ujrzała z daleka Jerzego i z całej siły zawołała na niego po imieniu. Jerzy, usłyszawszy wołanie, zatrzymał się na chwilę, rozglądając się po obecnych, a poznawszy ją, zbliżył się, położył rękę na jej ramieniu i nie dając czasu do zapytania, rzekł:

— Przyszedł pan po swoich chłopców, jeszcze nie wyszli z kopalni.

— Czy żyją, czy ich uratowano?

— Nie wiem, bardzo wielu robotników znajdowało się w tej okolicy, gdzie nastąpiło zawalenie. Prawdopodobnie kilkunastu zostało zamkniętych utworzonym przez zawalenie rumowiskiem; być więc może, że i pani synowie pomiędzy nimi się znajdują.

Wtem wjeżdżał pod górę jakiś wóz, wiozący ciało zabitego robotnika. Jerzy podskoczył ku wozowi, chcąc zakryć przed matką Taylor straszny ten widok; lecz uczynił to tak niezgrabnie, iż większą jeszcze zwrócił jej uwagę. Nieszczęśliwa kobieta zbliżyła się do wozu i przekonała, że były to zwłoki dorosłego mężczyzny.

— Jest to jeden z odgrzebanych robotników — mówił Jerzy.

— Pracujemy z energią tygrysów, aby dotrzeć do tych, którzy pozostali przy życiu. Bądź pani pewna, że wszystkich sił użyjemy, aby oswobodzić twoich synów.

To rzekłszy, pobiegł do dalszej pracy. Matka Taylor pozostała na miejscu, przypatrując się każdemu wozowi, wyjeżdżającemu z kopalni, znaczna ich część wiozła zwłoki nieszczęśliwych ofiar zawalenia. Słychać było od czasu do czasu straszne wybuchy rozpaczony żon i matek, ale pomiędzy ofiarami nie widać było jej chłopców. Z kopalni wychodziły gromadki znużonych robotników, a na ich miejsce nadciągały natychmiast drugie ze świeżymi siłami. Powracających natychmiast otaczały tłumy kobiet, czyniące najrozmaitsze zapytania, na które robotnicy nie umieli odpowiedzieć. Wreszcie przybył Jerzy.

— Niepotrzebnie pani tu czeka — rzekł on do matki Taylor. — Dam pani znać, jak tylko ich odszukamy, a nawet sam ich przyprowadzę. Prawdopodobnie zawalenie ich zaskoczyło i wiele czasu jeszcze upłynie, zanim ich odnajdziemy. To pewna, że tej nocy jeszcze nie będą wyswobodzeni, ale jak tylko ich ujrzę, natychmiast panią zawiadomię.

— Panie Jerzy, błagam cię, rób wszystko, co tylko można, aby ich uratować.

— Możesz pani być pewną, że uczynimy wszystko, co tylko można — odrzekł Jerzy, towarzysząc wdowie powracającej do domu. Podprowadziwszy ją spory kawał, zawrócił do kopalni, aby na nowo wziąć się do ciężkiej pracy.

Po kilkogodzinnej gorliwej robocie zdołano odgrzebać główne wyjścia, leżące na granicach obszaru dotkniętego zawaleniem. Policzono już wszystkich robotników, których brakowało, jednych znaleziono przy życiu, drugich zabitych; nie dostawało tylko tych, którzy prawdopodobnie zaskoczeni zostali rumowiskiem. Do tych ostatnich musieli należeć Tomasz z bratem, gdyż żadnego ich śladu dotychczas nie odnaleziono. Obliczono, że katastrofa musiała ich spotkać w północnej stronie kopalni i dla tego w tę stronę zwrócono wszystkie siły. Pracowano z nadludzką energią, ale napotymano olbrzymie zapory. W jednym miejscu korytarza bryły węglowe i skały zbiły się w jedną masę, podobną do muru, tak że przez kilka godzin musiano pracować nad wyłamaniem otworu parę stóp szerokiego, poza którym znajdowało się zupełnie swobodne miejsce, a za nim znów leżały w największym nieładzie porozrzucane ogromne bryły skał i węgla kamiennego.

Praca górników nie ustawała ani na chwilę. Skoro jedni upadali ze znużenia, drudzy ich zastępowali, aby tylko czempredziej dotrzeć do środka. Nie było tu słychać rozmowy; bo ludzie w takich wypadkach zwyczajnie niewiele mówią, ale za to pracują ze wszelkimi możliwymi nęceniem mięśni i pilnie się przysłuchują podczas krótkich przestanków.

Tak się nie pracuje za pieniądze. Żadne bogactwa świata tego nie zdołają dodać mięśniom ludzkim takiej energii i wytrwałości. Rzeczywiście pobudką pracy tych ludzi było współczucie i miłość bliźniego. Z chlubą wyznać trzeba, że w całej osadzie Dryden nie było ani jednego górnika, któryby nie chciał przyłożyć ręki do ocalenia chłopców i zmniejszenia, chociażby o jedną godzinę, cierpienia bolejącej ich matki.

Otwarty, prawdziwie męski charakter Tomasa i uczuciowa naiwność jego ociemniałego brata, czyniły obu chłopców ulubieńcami wszystkich górników, pod których prostą, skromną odzieżą biły serca tak silne i odważne, że nie powstydziliby się ich najwięksi bohaterowie ziemi.

Była już północ kiedy matka Taylor przybyła do domu. Strapiona, nie myślała wcale o głodzie, zestawiała ze stołu półmiski z jadłem, a na ich miejsce rozłożyła zwyczajne domowe lekarstwa. Uszyła bandaże, skubała szarpie i poczyniła wszelkie przygotowania potrzebne do leczenia rannych. Przypuszczała, że mogą być bardzo osłabieni, zranieni nawet; ale odpychała od siebie wszelką myśl, iż mogą być zabici. Znużona czuwaniem, nad rankiem udała się na spoczynek; zasnęła wprawdzie, lecz za najmniejszym szmerem się przebudzała, a na odgłos kroków zrywała się z łóżka.

O świcie zaszedł do jej mieszkania górnik z poczerwiałą twarzą, pokrwawionemi od pracy rękami i oświadczył, że odgrzebywanie zapadłej części znacznie już postąpiło. Mówił, że przybywa od świeżo uczynionego wyłomu i upewniał, że posilwszy się trochę i pokrzepiwszy snem, niebawem zabierze się do dalszej pracy.

Minęło rano, minęło południe, a kiedy żadna nowa wiadomość nie przybywała z kopalni, uczucie niepewności strapionej kobiecie tak dalece nieznośnem się stało, że zarzucając wełniany szal na głowę, znów udała się do kopalni. Kiedy stanęła na zrębie pochyłości, prowadzącej do podziemia, zgromadzeni tam ludzie rozstąpili się przed nią na znak głębokiego współczucia. Ujrzała tu kilkanaście wozów, jadących pod górę z kopalni; wiozły one znużonych kilkugodzinną pracą górników. Przybyłych obstąpiła natychmiast gromadka ludzi, czyniąc rozmaite zapytania, ale znużeni robotnicy odpowiadali tylko przeczącem skinieniem głowy; wreszcie powiedzieli, że dotąd nie odgrzebano nawet połowy zawalonej przestrzeni. Jeden z nich, poczerwiały, dobroduszny Irlandczyk zbliżył się do poblądłej ze smutku i znużenia matki Taylor i rzekł:

— Wkrótce już ich oswobodzimy, z utęsknieniem liczymy każdą godzinę, przybliżającą nas do tych biednych chłopców.

Nieszczęsna matka chciała go o coś więcej zapytać, lecz dzielny robotnik jej przerwał:

— Ach, nie pytaj się więcej, matko, oni żyją, to nie ulega żadnej wątpliwości. Pewno są trochę głodni, lecz zdrowi i nie skaleczeni. Bądź o nich zupełnie spokojna, matko Taylor, bądź tak spokojna, jakgdyby byli już u ciebie w domu.

— Czy nie dają żadnego znaku? — zapytała — czy nie słyszeliście tego znaku?

— Nie, ale nie bój się, matko — odrzekł wymijająco Irlandczyk — Zanim minie dzień, ujrzysz twoich chłopców uśmiechających się do ciebie. Nazwiesz mnie kłamcą, jeśli to się nie sprawdzi.

Słowa te wlały ufność w jej serce, powróciła więc do domu. Minęła noc bardzo długa i znów poranek zaświtał, a niestety! matka Taylor przekonała się, że Irlandczyk był kłamcą. I dziś powtórzyło się to samo, co dnia poprzedniego. Na zapytania jej górnicy odpowiadali krótko:

— Teraz już niedługo do nich dotrzemy — ale pomiędzy sobą mówili, że jeśli chłopcy są jeszcze przy życiu, to zanim zostaną oswobodzeni, umrą niezawodnie z głodu i złego powietrza. Byli nawet i tacy, którzy twierdzili, że niezawodnie znajdują ich nieżywych i pracują tylko nato, żeby im oddać ostatnią chrześcijańską posługę.

Czwartego dnia zaświtał piękny, słoneczny poranek. Było to pierwsze święto Bożego Narodzenia, pamiętny ów dzień, w którym pastuszkowie znaleźli świętą dziecinę w żłobku w miasteczku Betleem. Białe kobierce świeżo spadłego śniegu pokrywał całą okolicę, na którą wycieńczona matka Taylor zapadłemi głębi oczami spoglądała martwym wzrokiem z okienka swjej izby. Litościwie sąsiadki, towarzyszące jej podczas nocy, opuścili ją teraz na chwilę, pozostawiając samą ze smutnemi jej myślami. Przez niejaki

czas dobre kobiety ukrywały przed nią to, o czym wszyscy już wiedzieli, że bardzo mała jest nadzieja znalezienia przy życiu jej chłopców. Wreszcie uznały za powinność do tego ją przygotować.

(d. n.)

KSIĘGA PAMIĘTNYCH CZYNÓW.

Przed dziesięciu mniej więcej laty wszystkie dzienniki donosiły o bohaterskim czynie pewnego maszynisty okrętowego, który poświęceniem własnego życia uratował załogę i pasażerów. Dziś już niepodobna przypomnieć sobie nawet nazwiska tego człowieka, lecz czyn jego, wielki w prostocie swojej, zasługuje na to, aby był w tej księdze pamięci zapisany.

Było to wśród najpiękniejszej pogody. Parowiec francuzki zbliżał się już do wybrzeży łądu, gdy nagle straszne wstrząśnienie czuć się dało na całym statku, wszyscy pasażerowie wybiegli na pomost. Tu dowiedziano się, że kocioł okrętowy grozi pęknięciem, że katastrofa jest nieunikniona i lada chwila oczekiwana. Jeden był tylko sposób zażegnania nieszczęścia, gdyby kto odkręcił pewien kran i wypuścił nim wrzącą wodę do morza, nie powstrzymałoby to może pęknięcia, lecz w każdym razie osłabiłoby siłę wybuchu, czyniłoby je nieszkodliwym.

Dostać się w tej chwili do tego kranu, stanąć tuż pod kotłem, zagrożonym pęknięciem, było to narażać się na śmierć prawie pewną, śmierć w najstraszniejszych męczarniach. Prosty człowiek, maszynista, którego obowiązkiem było pilnowanie kotłów, odkręcanie kranów, oraz wszelkie porządki tego rodzaju, rozumiał to wszystko najlepiej. Nie zawahał się też wcale, i gdy drugie, groźniejsze jeszcze wstrząśnienie zachwiało statkiem, on poskoczył do kranu, odkręcił go, a w tejże samej chwili łoskot złowrogi dał się słyszeć, nieszczęśliwy znikł wśród kłębow pary, wybuchającej z pękniętego kotła.

Na okręcie powstało zamieszanie, wkrótce jednak wszystko się uspokoiło; w skutek odkręcenia owego kranu w ostatniej chwili katastrofa utraciła całą swą grozę. Nikt nie zginął, oprócz bohaterskiego maszynisty, którego szczątki, prosto ugotowane w wodzie wrzącej, odszukano pośród odłamów kotła. Ponieważ statek znajdował się niedaleko wybrzeży, więc wkrótce doczekał się pomocy. Znawczy orzekli jednogłośnie, że gdyby nie poświęcenie maszynisty, siła pary, niczem nie powstrzymana, mogła była statek rozszarpać, z ludzi zaś zapewne niewielu zdołałoby się uratować.

Zastanawiając się nad postępowaniem tego maszynisty, spoznajemy przedewszystkiem, że człowiek ten nie uczynił nic więcej nad spełnienie sumienne swojego obowiązku, z pewnością też jedynie głębokie poczucie tego obowiązku poprowadziło go na śmierć męczeńską. Był maszynistą, odkręcanie kranów do niego, nie do kogo innego należało, to też nie namyślał się długo, nie zważał na straszne niebezpieczeństwo, widział tylko *obowiązek* przed sobą i spełnił go święcie.

KAMIENIEC PODOLSKI.

Klepidawa, Petridawa.

Na starych mapach, tam, gdzie zaznaczona jest dzisiejsza rzeka Smotrycz, wpadająca do Dniestru, jest także nad Smotryczem zaznaczone miasto, zwane na jednych takich mapach „Klepidawa”, na innych zaś „Petridawa”. Miasto tej nazwy nie istnieje dzisiaj, a nawet nazwa ta nie pojawia się więcej w dziejach; luźny tylko domysł badacza i ułamek nieznaczne gawęd, niczem zresztą nie popartych, na taką mniej więcej o tajemniczym tem starożytnym mieście składają się opowieść.

Kiedy cesarz rzymski Trojan Optimus (Najlepszy) w I wieku po Chrystusie wiodąc słynne wojny dackie, rozciągnął granice swego państwa aż do Prutu, tworząc sobie nową prowincją pod nazwą Dacyi, zajmującą przestrzeń dzisiejszego Banatu, Siedmiogrodu i Rumunii, natenczas Dakowie, zwani przez Greków Getami, musieli przed zwyciężkim jego orężem cofnąć się aż w głąb Karpat i dalej. Ustępowali z rozpaczą w sercu.

— Teraz już po nas; lud, który nie umie przy ziemi swęj się utrzymać, nie ma snąc w sobie siły żywotnej i przeto ginie! — wołali z rozpaczą starsi, a na to z uniesieniem młodzież odparła:

— Nie! ustępować przed liczną przemocą, nie jest to jeszcze ginąć; ginie ten tylko, kto zwątpi o sobie; wielki Zalmoksys *) nie po to dał nam duszę nieśmiertelną, aby cokolwiek z ducha raz istniejącego ginąć miało! Zamiast rozpaczć bezsilnie, poszukajmy lepiej sobie jakiej odpowiedniej miejscowości, gdziebyśmy obronne gniazdo założyć mogli, i wzrośnijmy naokoło niego w nową potęgę: nie ziemia stanowi o istnieniu, lecz duch!...

Tak mówiła część młodzieży, ale nie wszyscy na nieszczęście, i przeto rozdzielili się Dakowie, a niezgoda ta podobno i rozpacz, jaka była jej przyczyną, sprowadziła na nich to właśnie, czego się najbardziej lękali. Ogół, zniechęcony niepowodzeniem, pozostał bezradnie tam, dokąd go oręż rzymski wygnął; odtąd też niknie starożytna Dacya, a pojawiają się w dziejach i w geografii w ich miejscu Słowianie, Jazygi, Sarmaci, Chrobaci i t. d. Maleńka tylko garstka młodzieży silniejszego ducha postanowiła wykonać pierwszy swój zamysł. I poszła ta garść Daków szukać sobie miejsca odpowiedniego na gniazdo obronne. Szukali, aż nad brzegiem rzeki, wpadającej do Dniestru, znaleźli to, czego im było potrzeba i pobudowali się w sposób bardzo pierwotny zrazu, w miejscowości, o której w szesnaście blisko wieków później tak pisano: „miasto przy multańskiej granicy, prawie snadź Boską ręką między twardemi i opoczystymi skałami zbudowane; bramy tylko 2 ma: zamek też na miejscu naturą i obroną na podziw obronny, skałą zewsząd okrażony, który wespół z miastem rzeka opływa, wał bardzo głęboki z natury wyrobiony otacza; a miasto skała kamienna niedostępne i nie dobyte czyni, która je tak okraża, że domy, choć są dość wysokie, przedsię jednak ledwie ich wierzchy przed nią widać” (**).

Osiadłszy w tak obronem z natury miejscu, garść Daków za słabą, aby mogła założyć państwo, kto wie, czy nie dopuszczała się jakich bezprawi dla zdobycia środków istnienia i dla tego to może Grecy nazwali tę ich obronną osadę „Klepidawa”, od wyrazu greckiego *kleptus* złodziej; Rzymianie zaś, szanując może wytrwałość ducha tej garści dzielnych, nazywali osadę ich *Petridawa* od „petra”, wyrazu znaczącego opoka, skała, kamień; ten to ostatni wyraz, przelomaczony następnie na język miejscowy, dał obronnej owęj Daków osadzie nazwę charakterystyczną: Kamieniec.

Znikł cały naród Dacki w wieków powodzi, ale Kamieniec i niewyraźna ta o nim legenda pozostały, jakby pomnik niespożyty siły ducha cząstki jego młodzieży; i jakby duch ten nazawsze się w kamiennem mieście zagnieździł, było ono przez długie wieki świadkiem i sceną przeróżnych czynów niepospolitych, zaznaczonych na kartach historii.

Ten to Kamieniec Podolski, gdy ciężkiem dopuszczeniem Bożem dostał się w moc Mahometa IV i dopiero pokojem karłowickim został Polsce zwrócony, natenczas dowódca turecki przy oddawaniu twierdzy, obchodząc składy prochów w towarzystwie Marcina Kątskiego, który ją odbierał, rzucił zapalony lont na prochy, aby twierdzę tę wraz z sobą samym i znajdującymi się w niej jeszcze Turkami w powietrze wysadzić. Ale dzielny Marcin Kątski, wojewoda kijowski, pochwyił natychmiast lont płonący i nie mogąc inaczej uczynić, dał mu się na dłoni swęj własnej spalić, przez co nie dopuściwszy iskry do prochów, ocalił Kamieniec.

M. Ziel.

*) Zalmoksys, bóstwo Daków.

***) Gwagnin.

PODANIA LUDOWE.

(URYWEK).

— Tak jest; niema Boga tylko Bóg a Mahomet jest jego prorokiem, ale i król Salomon niezmiernie był mądrym!... — mówił stary Ben Jussuf, głaszcząc wspaniałą siwą brodę i siadając na głazie studziennym, z którego wyższej części wytryskiwała czysta jak kryształ woda, ocieniona zielonym sklepieniem, utworzonym z rozciągniętych nad nią gałęzi

pełnym ptasząt, tłumaczył mowę na ich ludzkijęzyk na prośby dworzan swoich, a jeden z nich zapisywał jego słowa; pisanie to zachowało się do naszych czasów i ztąd wiemy, co wówczas szczebiotały ptaki i co dzisiaj szczebiocą zapewne. Więc śpiewał słowik:

— Umieć zadawałniać się losem swoim, jest najwyższym dobrem na świecie.

Dudek zaś wzdychał temi słowy:

— Kto nie ma współczucia dla bliźnich, ten sam nie dozna współczucia w potrzebie.

A skowronek świegotał:



Kamieniec podolski.

rozłożystego drzewa. My dzieci wiedzieliśmy już, że kiedy Ben Jussuf tak brodę głaszcze, to ma nieczęste u muzułmana usposobienie do gawędki, zaczęliśmy go więc wyciągać na słowa, jak zwykle:

— A i cóż tak mądrego zrobił król Salomon?

— Albo co ludzie wiedzą o królu Salomonie?

— A cóż on umiał, ten Salomon?

— Co zrobił?... Co umiał?... — powtórzył zwolna Ben Jussuf, chwiejąc turbanem i brodą. — On umiał najprzód wszystkie języki na świecie i rozumiał wszelką mowę, nietylko ludzką, ale zwierzęcą i ptasią także. Nieraz gdy próżność i gadatliwość ludzka uprzykrzyły mu się, rozmawiał z ptakami i zbudowany był ich mową. Raz nawet siedząc w gaju

— Czyńcie dobrze, chociażbyście żadnej nie mieli za to otrzymać nagrody, a otrzymacie ją niezawodnie.

Kogut znów wołał:

— Podnoście myśl waszą do Stwórcy, o, ludzie lekkomyślni!

— Kochajcie słabszych od was, a wszyscy silnymi będziecie, kochajcie!... — gruchał gołąbek.

A kruk mrucał z daleka:

— Ludzie bywają okrutnikami dla ptasząt, im dalej od żywych ludzi jestem, tem mi lepiej.

Wytłomaczywszy dworzanom swoim mowę ptasząt, Salomon zawołał do siebie gołębia i rzekł mu:

— Ty, który głosisz miłość dla słabych, zamieszka

przy mnie i uściel sobie gniazdko na gzymsach i w zaułkach murów świątyni.

Zamieszkał tedy gołąb w załamkach gmachu, jak dotąd w gmachach nawpół z ludźmi mieszka i w kilka lat bardzo się rozmnożył, tak, że gdy Salomon udawał się w podróż, to przywiązane do niego gołębie leciały ponad nim, tworząc jakby szeroki baldachin, osłaniający go od zbyt żywych słonecznych promieni. Trzeba zaś wiedzieć, że Salomon, podróżując w celu poznania dzieł Stwórcy, nie tak po dzisiejszemu podróżował. Kazał on podwładnym mu geniuszom utkać wspaniały kobierzec samo-lot, na tym kobiercu ustawiano tron złoty i krzesła srebrne, na tronie siadał król Salomon w chwale swojej, na krzesłach dwór jego, po środku ustawiono kosze i stoły z zapasami, gołębie chmurą wzbijały się w górę, ocieniając Salomona, a on rozkazywał wietrzykom pełnić powinność swoje. Natychmiast wiatr lekko unosił kobierzec ze wszystkim, co było na nim i niósł go z końca w koniec świata, wedle woli króla Salomona, a do gołębi nad głową jego przyłączało się z kolei wszystkie inne ptactwo, żyjące w krajach, przez jakie przelatywał kobierzec samolot, a przewodził im, jak zawsze ptakom, orzeł wspaniały. W ten sposób oglądając dzieła Stwórcy, król składał w podróży o nich pieśni swoje.

Zdarzyło się pewnego południa, w chwili właśnie, gdy pieśń układał, że gorący promień słoneczny padł mu prosto w oczy i król zaraz poznał, że jakiś ptak opuścił miejsce swoje, zapytał więc król orła, kto jest tym winowajcą? Orzeł wywoławszy po imieniu wszystkie obecne ptaki, oznajmił, że brak jest dudka. Zaledwo to ogłoszono zostało, gdy winowajca przyleciał zmęczony, drżący, i padł bez tchu przed królem.

— Dla czego uchybiłeś powinności? — ten zapytał.

— Uchybiłem — drżąc odrzeczł ptaszyna — bo oto od przelatującego brata dowiedziałem się, że ojciec nasz zaniewidział z zaniemógł, polecałem więc pokarmić go i piórka mu dzióbkiem poczesać, bo takie u nas dudków jest prawo, że gdy rodzice zaniemogą, to dzieci kolejno ich pielęgnują, a na mnie teraz kolej przypadła.

— Jeżeli tak, to nie smuć się, ptaszyno — rzekł król łagodnie — bo wypełniłeś obowiązek najpierwszy po obowiązkach względem Stwórcy!

Ptaszek zajął wesoło miejsce swe między Salomonowym orszakiem i kobierzec samolot leciał dalej.

Taką bajkę muzulmańską opowiadał Ben Jussuf nam dzieciom.

NA ZBÓJECKIM OSTROWIU

powieść

przez M. Zielińską.

(Dalszy ciąg).

V.

— Kse kse! do dom, do dom, woły moje!... zaraz odpocniemy wszyscy! — wołał przeciągłym a poważnym, właściwym Poleszukom głosem młody Marko, prowadząc wóz pełen siana z dalszego Brzozowego Ostrowia na Zbójecki Ostrów, na zimowy zapas. Było to letniem południem. Hryczy z całą swoją czeladką pozostał jeszcze na Brzozowym, dokończając tam zbioru i układając w stogi, tylko Marko, ukończywszy swój do południa, wracał do domu, nabrawszy siana, aby nie jechać próżno. Znał on już teraz wszystkie brody i drogi przez topiele tak, że nawet i Hryczy nie było strachu o niego, gdy sam puszczał się w drogę, która choćby najkrótsza z jednego ostrowia na drugi, może stać się dla nieświadomego ostatnią.

Marko zajechał na Zbójecki Ostrów, wyprzągnął woły, schował siano, pracując jak nieładna parobek i z książką w ręce siadł przed chatą, korzystając z zupełnej ciszy. Czytał a raczej pracował umysłem już od kilku godzin, gdy przeciągły a stłumiony mgłą teraz zachodzącą w powietrzu okrzyk doszedł do jego uszu. Marko podniósł głowę: w niewielkiej już odległości zdążył ku Ostrowiowi człowiek, dający okrzykiem znać o sobie. Oczywiście był to stary Wasio, bo któżby inny mógł z taką pewnością poruszać się na zielenią porosłych błotach i „okrzykiwał” dla tego, aby się dowiedzieć, czy tam, dokąd dążył, są ludzie?... bo mogli jako podczas zbiorów znajdować się we wsi na Dębowym lub gdzieindziej, a wtedy nie było poco chodzić do Zbójeckiego. Marko odpowiedział podobnym okrzykiem, dając tem znać, że się znajduje w domu i po jakimś czasie przybył Wasio.

— Czy od „dobrodzieja”? Czy z poczyt z pisaniem? — pytał Marko, częstując starego czem mógł naprędce.

— Nie — rzekł posłaniec i przewodnik okoliczny — nie wołano mię ani do księdza dobrodzieja, ani na pocztę, tylko do zajazdu; stoją tam jacyś trzej panowie, po cudzemu ze sobą gaworzący, i jeden z nich, mówiąc zupełnie tak, jakby żaby skrzeczały, kazał mi iść do Hryczego, rządcy Dębowej włości i przyległych, i powiedzieć mu, żeby przyjeżdżał do miasta, bo dziedzic tam przybył i czeka w zajeździe...

Marko zadrżał: to brat jego przyjechał!

— Wszystko to dobrze, tylko dziwno, czemu powiada się dziedzic... dziedzic... kiedy są dwaj dziedzice... — rzekł stary mrukliwie i niby sam do siebie, jedząc:

— Hryczy jest przy robocie na Brzozowym — odpowiedział Marko po namyśle. — Jeżeli chcecie, możecie do niego iść z tą wiadomością, ale jeżeli wolicie, to połóżcie się tu spać na sianie, a ja sam pójdę na Brzozowy.

— Oczywiście, że tak woła i ja i moje stare nogi! — zapewnił Wasio, z wdzięcznością spoglądając na panicza Marka, który w ten sposób brał na siebie część pracy, za którą stary wziął zapłatę; i posiliwszy się, legł na sianie po uciążliwej choć niezbyt dalekiej z najbliższego miasta podróży, i mruczał:

— Zaczny paniczek... ze wszystkim „starego pana” przypomina, kropła w kropkę... a no przyjechał miemiecki dziedzic... dziedzic, kiedy są dwa dziedzice!... hm...

W nędznym, jedynym w mieście zajeździe, w najlepszej z izb, a mimo to brudnej i nie wonnej wcale, leżał na łóżku pan Orchard w pół ubrany, a na kulawej i dziurawej kanapie leżał tak samo Ernest. Łóżko i kanapa ponarzucane były niewystarczającą podróżną pościelą, dywanikiem, pledem, byle ochronić jako tako osobistość panów od bezpośredniego zetknięcia z miejscowymi właściwościami. Jan Poleszuk, niezbyt stary jeszcze, bo tak jak i Hryczy rówieśnik pana Ernesta ojca, zajęty był przygotowaniem śniadania, gdyż było to rano, robił czekoladę na maszynie wśród mnóstwa eleganckich pakunków i przyborów podróżnych, porozstawianych w izbie. Jan sfrancuziały był bardziej, niż sam przypuszczał, bo zawsze tęsknił za krajem i wybrał się doń z wielką radością, a przecież obecnie smutny był i zniechęcony; trudy podróży znużyły nawet jego, choć je znał przecież, a rozmowa panów pełna wstępu i urągania dla wszystkiego po drodze, odkąd zajechano tak daleko, że trzeba było rozstać się z wagonami kolejowymi, w szczególności przykry sposób działała na niego: poprostu Jan uczuwał coraz dotkliwszy wstyd za ojczyznę swoją, która przecież kiedyś piękną była dla niego.

— *Sapristi!*... — mówił pan Orchard z syczącym w głosie szyderstwem i patrząc w brudny pułap — w gorące lato, w suszę, powóz od trzech dni z małymi przerwami jedzie w błocie po szprychy, płynie nieładnie, ryby wskakują do powozu, ludzie, do ludzi mało podobni, łowią je, chwytając rękami, dzikie, drapieżne ptactwo siada ci na głowie, zagraża oczom, wicher wyje ci koło uszu, i słońce pali chwilami: żywioły pomieszane, jak w przeddniu stworzenia! Ludzie wyciągają z błota jako przysmak obrzydliwe, ogromne robaki i jedzą je, i ususzywszy używają za lampy i na opał, a i tych

ludzi brak, błoto i pustynia, pustynia i błoto!... Co za kraj, co za obrzydliwość! I dziwić się tu, że nieszczęśliwa Irena nie przeżyła półrocznego tutaj pobytu! Ach!

— To rzecz okropna!... zgroza, hańba i wstyd dla społeczeństwa! — jęczał młody Ernest, wtórując z głębi duszy dziadkowi.

Jan spuszczał głowę coraz niżej i czerwieniał się ze wstydu, zwłaszcza wzmianka o „robakach ogromnych” to jest piskorzach, które dla Poleszuka są warunkiem bytu niedwie, a zarazem dumą i chlubą jego, dobiła Jana. To też usłyszawszy szelest u drzwi, żywiej niż zwykle poskoczył do nich, rad przerwie w utyskiwaniach panów.

— Kto tam? Czego to? — spytał, mówiąc źle i z trudnością po polsku.

— Hryczy syn! — odpowiedziano; parobczak w pospolitej Poleszuków siermiędze wszedł do izby.

— Dla czego nie sam rządcą! — zawołał łamanym językiem Ernest, jednocześnie tłómacząc dziadkowi, o co chodziło.

— Rządcy nie zastało rozkazanie... poszło za nim na ostrowy, gdzie żniw pilnuje; przychodzę tymczasem ja! — rzekł młody Poleszuk, wpatrując się chciwie w Ernesta, który zdziwiony wyrazem jego oczu, zmarszczył czoło i nawzajem mierzył go dumnym spojrzeniem. Jan tymczasem wytłómaczył panu Orchardowi, co mówiono.

— Syn rządcy? — powtórzył Orchard — to dobrze, korzystając ze sposobności, trzeba go wypytać przedewszystkiem o tamtego znajdę, podrzutka, czy oszusta, którego tu za zmarłego twego brata udać usiłują; chłop młodszy głupszy, może prędzej od ojca wygada się z czem, a potem ich uchwycić będzie można za słowo: Pytaj, Erneście!

To mówiąc, pan Orchard patrzył ciągle na pułap, wybierając z dwojga złego patrzeć na brudne zadymione belki, niż na Poleszuka, a Ernest i Jan patrzyli na Orcharda; gdyby nie to, gdyby ktokolwiek spojrział w tej chwili na Hryczego syna, byłby zdumiał się gwałtownym wzruszeniem, jakie wstrząsnęło nim i twarz jego wzburzyło: parobczak zatrząsał się, zaciskając pięści, krwawa łuna a potem śmiertelna bladeść przeleciały mu po twarzy, oczy rozgorzały płomieniem...

— Co tam u was robi ten chłopak, o którym ojciec twój w liście wspominał? Nie wiesz? — zapytał Ernest.

— Jaki chłopak? Jak mu imię? Chłopaków dużo jest... — mruknął Hryczy syn, instynktowo spuszczać głowę, aby ukryć twarz przed patrzącymi. Ernest spojrział na dziadka i na Jana, jakby rady u nich szukał, czuł, że nie należało mu podstawionego podrzutka nazwać imieniem, pod które on się usiłował podszyc:

— Ten, którego twój ojciec w liście nazwał Marcyanem!... — rzekł wreszcie powoli, nie pewien, czy dobrze się wyraża.

— Paniczyk!... — rzekł dobitnie Hryczy syn. — Nie, to nie Hryczy nazwał go Marcyanem, to nieboszczyk pan, i nieboszczka pani, Dębscy dziedzice tak go nazwali, a ksiądz na chrzcie świętym dał mu to imię pańskie Marcyan, Hryczy zaś i wszyscy tutejsi zwą paniczyka po swojemu: paniczyk Marko!

— Dziadziu! słyszysz! to coś brzmi niby królewicz Marko! — zawołał ze zdumieniem i szyderstwem zarazem Ernest po francuzku i zrywając się usiadł na kanapie.

— Ależ to zmowa, spisek, liga kompletna! To gorzej, niż sądziłem! — jęknął Orchard, gdy Jan wytłómaczył mu dokładnie, co usłyszał, i usiadł dziad na łóżku, z przestraszonym spoglądając na Poleszuka. Usłyszane słowa podniosły obu panów z horyzontalnej pozycji.

— Spytaj, co tam robi ten Marko, i gdzie mieszka? Czy tylko nie usadowili go we dworze... — powiedział pan Orchard, Ernest powtórzył po polsku.

— Robi to, co wszyscy robić powinni, pracuje na chleb, który je — odpowiedział parobczak — a mieszka z tymi, którzy go wychowali, na Zbójeckim Ostrowiu.

— Zbójecki Ostrów! — zawołał z przerażeniem Ernest — Janie, co to Ostrów?

— To znaczy wyspa... — objaśnił Jan zakłopotany.

— Zbójecka wyspa!... Dziadziu, słyszysz! To znaczy „Wyspa zbójców” to jest jaskinia zbrodniarzy! — zawołał Ernest, biegnąc do dziadka. Orchard wstał:

— Dosyć tego — rzekł — Janie, podaj mi odzież! Gdzie jest szkatułka z pistoletami, niech ponabijam. Ubierz się, Erneście! Jesteśmy w pobliżu uorganizowanej szajki rozbójników i złodziejów, zarzucających wędkę na twoje miejsce; ale tymczasem znajdujemy się jeszcze w jakiejś miejscinie, gdzie musi być przecież jakaśkolwiek władza, jakabądź siła zbrojna! Tam więc udamy się przedewszystkiem po pomoc! A także trzeba zabezpieczyć osobę tego Hryczy syna, będzie nam służył za zakładnika względem ojca swego, jeżeli jakiekolwiek uczucia ludzkie istnieją pomiędzy tą dziczą!...

— Ależ, panie, proszę pana — wtrącił nareszcie Jan, usiłując już po kilka razy to uczynić — to wcale nie to znaczy, co pan sądzi, to tylko nazwa odwieczna taka tego ostrowia... ale zbójców tam nigdy nie było!

— Nigdy? A z kąd ta nazwa?

— No, jużci kiedyś... — zawahał się Jan.

— A od czterdziestu lat, czy przysięgniesz, że wiesz, co się tu dzieje?

— No, przysiądz!... — szepnął Jan — to znów trudno...

— A więc biegaj po policyą! Ach nie! Sam muszę rozmówić się z władzą. Gdzie tu siedlisko władzy? Ach, prawda, że i ty nigdy w tej miejscinie nie byłeś podobno. Zapytaj tego chłopca, gdzie tu mieszka mer! Czy tylko tu umieją po francuzku!...

— Panie, tu merów wcale niema!

— To musi być inny urzęduik odpowiedni!... byle tylko mówić po ludzku umiał!...

— Hryczy, powiedz mi, gdzie tu w mieście jest... jest takie biuro... gdzieby się rozmówić można o... o... — zaczął Jan i w żaden sposób nie mógł wymówić właściwej nazwy, choć wyraz wisiał mu na języku. Hryczy syn spoglądał z podełba ponuro w czysto poleski sposób na żywo krzątających się i rozmawiających po francuzku panów i służbę, dopiero na próżne usiłowania Jana w przypomnieniu sobie polskiego wyrazu, parobek mruknął z ukrytem szyderstwem:

— Tu nikt po waszemu się nie rozmówi... chyba ksiądz Jacek!

— Jacek! — zawołał Jan z radością. — Czy nie ten to ksiądz Jacek, który w Dębowym chrzczył panicza Marcjana, gdyśmy z panią tu byli?

— Ten sam!... — potwierdził Hryczy syn.

— Panie! proszę pana! — zawołał Jan — to ksiądz zacny i mądry, jedźmy tylko do niego do klasztoru, a już on na wszystko radę znajdzie, a i on też chrzczył panicza Marcjana!...

Pan Orchard pomyślał chwilę:

— A więc jedźmy do księdza — zawołał — a gdzie to?

— Niedaleko za miastem stoi klasztor, jak panowie rozkażą, to przeprowadzę... — powiedział parobek, gdy mu powtórzono pytanie.

— Każ zaprzęgać, Janie! — Jan wybiegł.

— Janie! Janie! słuchajno! — dodał przypomniawszy coś sobie stary a żywy jak iskra Francuz i wybiegł za Janem.

— Dziadziu, to nie tam! — krzyknął Ernest, spostrzegłszy przez drzwi rozwarte, że Francuz pobiegł na podsień zatłoczoną wozami, w przeciwną stronę tej, w której stał powóz jego, i gdzie Jan tylko co podążył: więc i Ernest poskoczył za dziadkiem w obawie, aby starzec nie potknął się wśród wozów i koni i mnóstwa różnorodnych innych przeszkód w wielkiej w pół ciemnej bramie zajazdu. Hryczy syn przez chwilę pozostał sam jeden w izbie wśród mnóstwa porzrzucanych przyborów podróżnych: bystry stary Francuz, uchwycony za poły przez wnuka na przeciwną stronę zajazdu, natychmiast to sobie przypomniął:

— Jaktó! pozostawiłeś więc tego złoczyncę samego w pokoju!... wracajmy! — zawołał, zapominając już tego, z czem biegł do Jana. Ale nie tak łatwo było wrócić, bo właśnie jeden i drugi wóz wyjeżdżały z bramy i Francuz musiał przez chwilę stać w miejscu, tupiąc tylko nogami z niecierpliwości; gdy wpadł nareszcie do izby i podejrzliwie obrzucił ją oczyma, zastał wszystko jak zostawił i Poleszuka nieruchomego u drzwi.

VI.

Interes, z jakim pan Orchard biegł do Jana, dotyczył wyszukiwania przewodnika, bo ofiarującemu się z usługami Hryczemu synowi Orchard nie ufał, a dotychczasowy woźnica, zgodzony tylko do miasta, zabierał się już w drogę powrotną do swęj chaty piechotą. Usłyszawszy jednak, że potrzeba jeszcze dojechać do klasztoru, zgodził się i na to.

— A znaszże drogę? mówiłeś, że nie bywałeś dalej? — pytał Jan troskliwie.

— E ot, co tu znać o!... — odparł Poleszuk miejscowy, wskazując biczyskiem ku chmurom, na których tuż nad miastem prawie rysowały się wyraźnie wieżyce klasztorne. — Nie byłem tam nigdy, ale zaraz będę. I parobek tutejszy pójdzie z nami.

Parobek ten, to jest Hryczy syn, już zdążył poznać się z woźnicą i poszedł rażno przy koniach. Orcharda uspokajała bliskość klasztoru. Ale sprawdziło się przysłowie „blisko widać a daleko dybać”. Wyjechawszy z miasta zapuszczono się w las, tracąc z oczu wieżyce klasztorne, zasłonięte drzewami i w godzinę później jechano ciągle jeszcze lasem. Niepokój ogarniał podróżnych, zdumionych tak długą podróżą za miasto do klasztoru, który zdawał się stać w mieście. Wtem nagle wyjechano z lasu i znalezione się nad jedną z tych licznych a bystrych rzeczulek, które gęsto przeryniają okolicę, kierując się do Prypeci. Prom mały i łódka stały u brzegu.

(d. c. n.)

ROZMAITOSCI.

Świnki należą do rzędu stworzeń, niewiadomo dlaczego, powszechnie pogardzanych. Pogarda ta coprawda tylko za życia je dotyka, smaczne szynki, kielbaski, słoninka, cieszą się przeciwnie powszechnym szacunkiem. Biedne świnki mają zapewne swoje złe strony, lecz najniesłuszniej zarzucają im nieroztropność. Ludzie zupełnie zapominają o tem, że domowe nasze świnię pochodzą od dzików, zwierząt odważnych, silnych, z któremi myśliwi nieraz dużo miewają kłopotu.

Ktoby chciał świnkom zarzucać nieroztropność, niech posłucha opisu prawdziwego zdarzenia, zamieszczonego niedawno w jednym z dzienników angielskich. Na pięknym pastwisku, przeciętem przez środek koleją żelazną, pasła się liczna trzoda. Poważna świna, matka piętnaściorga dorodnych prosiątek, przechadzała się z rodziną pośród szyn kolejowych, gdy nagle dał się słyszeć gwizd lokomotywy.

Zdarza się nieraz na nieszczęście, że krowy, owce i inne zwierzęta giną tym sposobem, gdy je kolej niespodzianie najeździe. Ale nasze świnki wybornie sobie poradziły i uniknęły nieszczęścia. Niewiadomo, czy matka rozsądnie do nich przemówiła tem chrząkaniem, które prosiątka z pewnością rozumieją doskonale, czy same poszły po rozum do własnych łebków, dość, że cała rodzina, matka i piętnaścioro młodzie-

ży, stanęło długim rzędem po samym środku szyn, a gdy pociąg nadleciał, przemknął ponad głowami roztropnych świńek, nie wyrządzając im żadnej szkody.

Musiały jednak pojmować, że uniknęły groźnego niebezpieczeństwa, bo jak opowiada naoczny świadek tego ciekawego zdarzenia, gdy pociąg przejechał, wszystkie prosiątka w podskokach i susach wesołych odbiegły dalej na łąkę i nie zbliżyły się więcej do szyn kolejowych.

ZADANIE KONIKOWE.

(Ułożone przez Gołąbka czarnego dla Bułeczki z masłem).

cie	na	zę	pfo	py	srebr	ga	do
bia	tem	krę	ny	na	mek	li	rzem
za	brzo	gro	i	na	a	lą	dłu
o	lą	Na	za	dzo	niej	wzgó	ga
re	li	le	wi	to	stru	ga	ma
do	dżę	szcze	do	stru	nej	po	za
nie	po	li	ściń	zie	po	skę	dro
w da	go	na	gą	wio	ca	lo	le

Czarodziejska głoska.

(Od Czarnuszki z Mroczkowa dla Firletki białej).

elka—lin—era—koza—baki—ale—rak—roić—kurak—
—oraz—ej—arki—strzela—udka—rudy—ona—ryś—aron—
ranka—osa—rama—rogi—kora—as. — Znalesz głoskę, która
raby dodana do każdego z tych wyrazów zmieniła jego zna-
czenie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 9-go.

Szarady:

Mi — nu — ta.

Łamigłówki zgłoskowej:

Janicki—Astrolog—Neron—Klara—Owoc—Czerwony
—Hamak—Agar—Neofita—Owies—Wiśniowiecki—Skar-
biec—Kopernik—Indyjski.

Jan Kochanowski — Ignacy Krasicki.

TRĘŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Pamięci Bohdana Zaleskiego, wiersz p. Martę. — Brat ociemniały, powieść Homera Green'a, przełożył z angielskiego Henryk Wernic. — Księga pamiętnych czynów. — Kamieniec podolski (z drzew.) — Podania ludowe. — Na zbójckim Ostrowiu, powieść p. M. Zielińską. — Rozmaitości. — Łamigłówki i rozwiązania. Dodatek. Bajka wierszyk (z drzew.) — Gwoździe w progu p. Henryka Wernica. — Mała Laponka. — Kwaśna Florcia, opowiedziała Marya z Grabowa. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: W imię koleżeństwa, powieść przez Bronisławę Porawską.



BAJKA.

państwie kotków, słuchajcie, co to się raz stało:
Koteczki przeciw burym kotom
runtowały się wszystkie! rządzić się im chciało,
łasnym rozumem ulżyć krajowym kłopotom!
— Cóż to! — mówiły sobie koteczki dziewczynki,
— Czyżbyśmy nie umiały sobie też poradzić;
Łapać ptaszki i myszy, uwędzić słoninki
I zimowe zapasy przez lato gromadzić?
Cóż my mamy być gorsze, niż te bure koty,
które na nas tylko mruczą, w domu siedzieć każą,
nie chcą rządzić, dzieci pilnować, a w główje im psoty
nie biegają po świecie, i po drzewach łążą?
O! my nie damy sobą tak rządzić na wieki.
Koteczki także rozum i nielada mają,
Wiedzą, że za górami jest ten kraj daleki,
W którym panienki rządzą, chłopczyki słuchają.
Cóż my także zmienim obyczaje dawne;
Koteczki bure zapędzim w domu do roboty,
i same będziemy rządzić i wyrabiać psoty.
Cóż pieroż to będzie zabawne!
Więc dalejżel tak mądre wygłosiwszy zdanie,
Raz kiedy bure koty szły na polowanie,
Wszystkie kotki, jak były, i białe, i czarne,
Umówiwszy się, przyszły wesole i gwarne.
Opatrzcie! oto zebrane tutaj pokryjomu,
W obronie praw swych liczne wnoszą głosy,
Kiedy bure koty powrócą do domu,
Że rozsądzone będą przyszłe kraju losy.
Lecz cóż! Kiedy tak licznie zebrane kumoszki,
Trudno, żeby się nawet przywitać nie miały;
Tembardziej, że przyniosły robótki, pończoszki
I różnych wiadomości zapas też nie miały.

I jakże nie zapytać, czy zdrowe kocięta,
Lub o własnych kłopotach nie mówić sąsiadce;
Przypomnieć, czy też jeszcze wycieczkę pamięta
Na kanarka, co śpiewał nad oknem tam w klatce?

Więc choć ich do porządku dzwonek nawołuje,
Choć czas drogi upływa, mijają godzinki,
Jedna drugą się cieszy, a trzeciej żałuje,
O nieobecnych mówią, dziwne stroją minki.
W takt kiwają główkami i oczęta mrużą,
I coś szepczą do uszka, i mruczą do siebie;
Z ciekawych wiadomości przyszłość sobie wróżą,
Lecz całkiem zapomniały o kraju potrzebie.

I o hańbo! słuchajcie! gdy koty wróciły,
I miauczeniem do domu odwołały kotki,
Biedne przyznać musiały, że czas ten straciły,
Mówiąc tylko o sobie, albo robiąc... plotki.

Gabryela Jasińska.

GWOŹDZIE W PRÓGU.

Jaś był zdatnym i jak to mówią sprytnym chłopcem,
ale posiadał jedną wadę: był bardzo roztargniony i skutkiem tego wiele popełniał błędów.

Pewnego dnia rzekł do niego ojciec:

— Jasiu! postanowiłem wyleczyć cię z twój lekko-myślności, i dlatego za każdym twojem przewinieniem wbiję gwoździć w próg domu, aby ci przypomnieć o przekroczeniu, a ilekroć dobrze postąpisz, wyciągnę go z progu.

Ojciec uczynił, jak powiedział i codziennie wbijał w próg nowe gwoździe, a bardzo rzadko je wyciągał. Wreszcie cały niemal próg pokrywały gwoździe. Nic to nie szkodziło starszym osobom chodzącym pomału, ale Jaś, który zwykle w podskokach przechodził z jednego miejsca na drugie, pewnego razu tak mocno się pośliznął, że upadł i stłukł sobie rękę.

Zwyczajnie upadający spoglądają na miejsce, na którem się przewracają, tak też uczynił i Jaś, i teraz dopiero spostrzegł, iż cały próg błyszczał od łepków gwoździ. Wstyd sprawiony przekonaniem, że własne błędy przyczyniły się do jego upadku, był silniejszy, niż dotkliwy ból, jaki czuł w ręce. Mocne tedy uczynił postanowienie, żeby się poprawić.

Nazajutrz był tak pilny i powolny, że wiele gwoździ zniknęło z progu, a po upływie kilku dni, jeden tylko gwoździec tam pozostał. Wtedy rzekł ojciec:

— Patrz, Jasiu. W progu jest tylko jeden gwoździec, a i ten zaraz wyciągnę; wszak pewno bardzo się z tego cieszysz?

Ale Jaś, spojrzawszy na próg, zamiast się radować, gorzko zapłakał.

— Czemu płaczesz? — zapytał go ojciec łagodnie — powinienbyś się cieszyć, że niema już żadnego gwoździa w progu.

— Prawda — odrzekł Jaś smutnie — gwoździ tam już niema, ale ślady po nich pozostały.

Henryk Wernic.

MALA LAPONKA.

Dzieci, lubiące zabawy ze śniegiem, musiały być zadowolone téj zimy, miały tego śniegu dosyć i było z czego robić, i kule ogromne, i olbrzymich bałwanów, i fortece budować. Dzieci państwa B., mieszkających na wsi, rozkoszowały także w tym śniegu, który zasypywał obficie prawie codziennie cały ogród i podwórze, aż go z trudem wymiatać było trzeba. Ale dzieci uprosiły, że w jednej części ogrodu nie wymiatano śniegu, lecz im do zabawy pozostawiano całe kupy ogromne.

Dwaj starsi chłopcy najrozmaitsze piękne rzeczy robili z tego śniegu, a młodsza ich siostrzyczka, ośmioletnia Lunia, z wielkim zapalem im pomagała. Ona też pierwsza podała myśl, aby zbudować domek ze śniegu, widziała taki na obrazku i wiedziała, że Laponczycy, mieszkańcy dalekiego kraju północnego, naprawdę budują sobie domy ze śniegu. Chłopcom się ten pomysł podobał, zaczęli więc gromadzić śnieg pod sztachetami oglądając go ładnie z wierzchu i wkrótce stanęła ogromna kupa, u góry zaokrąglona, zupełnie podobna do tych domów lapońskich na rysunkach.

Lunia tak była zachwycona tem arcydziełem, że siedziałaby chętnie od rana do wieczora przy domku śniegowym, gdyby mama na to pozwoliła; ile razy, czy z rana, czy po południu, ubrano ją ciepło i wypuszczono z pokoju, pędem biegła do ogrodu i poprawiała coś u wspaniałego budynku, dokładała doń śniegu, ażeby był jeszcze większy i śliczniejszy.

Dnia pewnego rodzice z braćmi pojechali w sąsiedztwo, Lunia została w domu pod opieką służącej Brygidy, mama odjeżdżając powiedziała, że może Lunia bawić się w ogrodzie do zachodu słońca. To też Brygida zaraz ją ubrała w ciepłe berlaczyki, futerko, kapturek i dziewczynka, jak zwykle, pobiegła do lapońskiego domku.

Przez czas jakiś bawiła się gromadzeniem śniegu, zrobiła nawet drugi domeczek malutki, dla lalek lapońskich, aż w końcu przyszła jęj do głowy myśl bardzo niedorzeczna; czepiając się sztachet, weszła na szczyt śniegowego domku i usiadła na nim. Dnia tego mróz był niewielki, śnieg zaczynał padać, ale Lunia nie zważała na to, lubiła nawet bardzo, gdy śnieg padał na twarzyczkę, na nos, czasem chwyciła płateczkami ustami i połknęła. Tak też robiła i teraz, siedząc na dachu lapońskiego domku, a wtem nagle dach ten zaczął się osuwać i Lunia zapadała coraz głębiej w śnieg, w końcu cała z głową się w nim pogrzeżyła.

— O! jakże to zabawnie — zawołała — teraz sobie siedzę w domku, jak prawdziwa Laponka.

I wcale nie miała ochoty wychodzić, bardzo tam było wygodnie i miękko, zimna nie czuła w futerku kapturki i berlacykach. Siedziała więc tak Lunia poruszając się wcale, powoli oczki jęj kleić się zaczęły i mała nasza Laponka na dobre zasnęła. Śnieg tymczasem padał coraz gęstszy i zasypywał ją z góry, dziewczynka ani czuła, że jest cała zagrzebana w śniegu.

Dopiero o zachodzie słońca Brygida wyszła do ogrodu, wołając na Lunię, że pora już wracać do pokoju. Jakież było jęj przerażenie, gdy na te wołania, kilka razy powtórzone, nikt nie odpowiedział. Lunia usłyszała tak mocno, że nic nie słyszała, bo na mrozie zwykle tak bywa, można usnąć na wieki, jeżeli ratunek nie przyjdzie na czas.

Ale Brygidzie do głowy nawet przyjść nie mogło, żeby dziewczynka ukryta była w śniegu, więc biegła po całym ogrodzie, dosyć obszernym, przybrała do pomocy ogrodnika, kredencera, praczkę; wszyscy strwożeni i zmartwieni szukali zatraconej panienki, a szukali nadaremnie.

Nadjechali na to rodzice i bracia Luni, Brygida z płaczem opowiedziała, co się stało, że panienka wyszła jak zwykle, bawić się śniegiem w ogrodzie i tam, jak w wodę wpadła, nigdzie jęj odnaleźć nie można. Łatwo sobie wyobrazić przerażenie rodziców, ojciec i matka nie rozbiegając się, zaczęli sami przetrząsać cały ogród, a dwaj bracia Luni, niemniej od rodziców strwożeni, im pomagali gorliwie. Wszyscy przechodzili raz po raz podczas tych poszukiwań obok domku lapońskiego, ledwo nikomu na myśl nie przyszło do niego zajrzeć. Już i ściemniać się zaczynało, ojciec Luni kazał zapalić latarnię, gdy wtem ozwało się głośne miauczenie kota. Maciuś lubił bardzo Lunię, bo dziewczynka była dobra dla niego, dawała mu mleczko na miseczce, czasem i mięsa kawałek, a zawsze go popieściła.

Ojciec Luni pierwszy zwrócił uwagę na kota i spostrzegł, że Maciuś, miaucząc ciągle przeraźliwie, zaczął rozgartywać pazurami śnieg w domku lapońskim. Nie tracąc chwili, ojciec rozsypał tę kupę śniegu i wyciągnął z niej z okrzykiem radości i trwogi zarazem uspiołą dziewczynkę. Na krzyk ten zbiegli się wszyscy, Lunia ciągle nieprzytomną odniesiono do pokoju, rozebrano, położono w łóżeczku i tu dopiero oczki otworzyła. A kotek ciągle miauczał, teraz już wesoło i kręcił się koło łóżeczka.

Na szczęście Lunia katarem tylko odpokutowała swoją nieroztropność; rodzice wcale jej nie łajali, bo dzieli, że i sama już pewnie drugi raz tego nie zrobi. Ciocia od tej pory nazywali ją małą Laponką i nazwa ta pozostała jej na długo.

KWAŚNA FLORCIA.

Opowiedziała **Marya z Grabowa**,

Florcia była to grzeczna dziewczynka, miała tylko rzydką wadę, że jeżeli nie spełnił ktoś natychmiast jej życzenia, lub sprzeciwił jej się w czemkolwiek, w tej chwili krzywiła buzię w okropny sposób, nosek spuszczała na dół i na zapytanie, co jej jest, mruzczała niewyraźnie. Florcia jednak skończyła już lat sześć, czas było zabrać rozsądku. Mamusia, bona, wszyscy jej te humory ganili, Florcia obiecywała poprawę, ale niechże bona opowiedziała, że pójdą na spacer do ogrodu, a nie w powózku, jak sobie Florcia życzyła, albo obrąbek u serwetki źle zrobiony trzeba było poprawić, już się wyrzywia, rzuca robotę, szarpie nitkę, strasznie dotknięta, bona śmiała jej robić uwagę, lub nie zastosować się do jej życzenia.

Za takie grymasy słusznie panience należała się kara i to surowa, ale że Florcia od dzieciństwa była słabego zdrowia, wiele więc podobnych kwasów uwzględniano, przypisując chorobie; Florcia też bardzo często w wypad złego humoru tłómaczyła bólem głowy, choć wadko to prawdą było.

Że też to Florcia nie brała przykładu ze starszej swojej siostrzyczki, Maniusi; co to za miłe i słodkie dziecko! zawsze wesoła, uśmiechnięta i zadowolona. Wszyscy ją też więcej od grymaśnicy kochali, i choć nie była ładna była od Florci, każdy jednak mówił:

— Wolę Maniusię, bo jej twarzyczka pogodna, ładna, a Florci najczęściej tak skrzywiona, że nie można powiedzieć, czy to zmarszczona staruszka, czy dziecko.

Służący także Maniusię kochali, a choć Florcia również była dla nich dobra, poczęstowała jakim przysmaczkiem, nigdy przed rodzicami nie skarżyła, nie obrałi jej za te kwaśne miny, i w sekrecie nazywali kwaśną panienką.

Na wiosnę doktor kazał Mamusi wyjechać do Marynbadu dla poratowania zdrowia, postanowiła tam też udać z Maniusią, aby nie być samą zdale od kraju. Florci znów przepisali słone kąpiele w Ciechocinku. Na szczęście się dla niej złożyło, że ciocia tam jechała ze swojemi dziećmi, i miała ochotę Florcię zabrać z sobą. Mamusia była z tego bardzo rada, bo wiedziała, jaka ciocia dobra i kochająca, dzieci jej grzeczne i miłe, więc była pewna, że jej córeczka znajdzie troskliwą opiekę i przyjemne towarzystwo. Upominała ją tylko, aby przestała swoich kwasów, bo niedość, że się przedstawia jako źle wychowana dziewczynka, ale nikt tam nie będzie miał dla niej miłości i wiele przykrości tego powodu może ją spotkać.

Florcia cieszyła się bardzo tym wyjazdem, przyrzekła więc najsolenniejszemu zawsze być zadowoloną, choćby

jej się co niepodobało. Mama zajęła się rozmaitemi sprawunkami, kupiła Florci ładne sukienki, fartuszki, kapełusz z kwiatami, szkatułkę na grzebienie i szczotki, bo Florcia bardzo była porządna. Przez ten czas dzieci wszystkie bawiły się w hotelu pod opieką panny Bronisławy, bony dzieci cioci, bardzo miłej i dobrej osoby. Bona Florci wyjechała na dwa miesiące do swojej rodziny. Florcia bardzo się zaprzyjaźniła ze swoim ciocięcznym rodzeństwem, chociaż jej żal było żegnać się z mamusią i siostrzyczką, wesoło jednak wsiadła do wagonu.

Pierwsze godziny podróży szybko przechodziły, dzieci rozmawiały ciągle o Ciechocinku, który sobie wystawiały jak jakiś raj zaczarowany. Czas był piękny, co chwila jedno z nich wysuwało ciekawie główkę przez okno wagonu, aż ciocia zawołała, żeby się tak nie wychylać, bo o wypadek łatwo. Florcia uczuła się obrażoną i z nachmurzoną twarzą usiadła w kąci, a gdy ciocia otworzyła koszyk z zapasami, podróżną spiżarnię, jak nazywała, Florcia stanowczo odmówiła, chociaż ją butersznity i ciasteczka bardzo nęciły. Sądziła, że tym brakiem apetytu dobitnie okaże swoje niezadowolenie z uwagi, którą jej ciocia odważyła się zrobić. Niedługo jednak pożałowała tego, bo głód w żołądku zaczął się odzywać, a tu ciocia koszyk zamknęła i sama zaczęła drzemać. Florcia nie śmiała się naprzykrzać, tylko z niecierpliwością oczekiwała Skierniewic, gdyż tam obiadem posilić się miano. Z jakimże apetytem zajadała; nawet kotlet cielęcy z groszkiem, którego nie lubiła, bardzo jej smakował.

— Dzieci, nie pijcie wody — mówiła ciocia — w podróży to niezdrowo, macie tu herbatę — i przed każdym kazała postawić pełną szklankę.

— Moja herbata bez łyżeczki, nie mam czem pić — odzywa się Florcia.

— Masz moję — podsuwa grzeczna Jadwinia — napijemy się do spółki jedną.

— Ale cukru mało i gorąca.

Na to już trudno było poradzić, jak zwykle ruch na stacyi ogromny, służba zajęta, każdy się śpieszy, nikt na cichy głos Florci nie zwraca najmniejszej uwagi, co ją bardzo gniewa. Nachmurzona miesza herbatę, powtarzając:

— Takię gorącej przecież pić nie mogę.

Ale zanim panna Bronisława, która obdzielała dzieci, zwróciła na nią uwagę, już słyhać dzwonek i donośny głos szwajcara „do granicy! proszę siadać!” Trzeba się śpieszyć, aby zająć miejsca, herbata Florci pozostała nietknięta, a ona spragniona powróciła do wagonu. Humor jej naturalnie był zły, a pomimo wesołych rozmów dzieci, czoło pozostało strasznie namarszczone; w końcu zaczęła tak niegrzecznie im odpowiadać, że aż zwróciła uwagę cioci.

— Dajcie jej pokój — rzekła — pewno ją głowa boli; usiądź sobie, Florciu, spokojnie, a wy zbliżcie się do panny Bronisławy, ona wam opowie bajeczki, to wam się droga nie będzie tak długi.

Florcia lubiła bardzo bajeczki, a panna Bronisława takie ciekawe rzeczy mówiła; do uszek Florci dochodziły słowa o Ciechocinku, o warzelni soli, o kopalniach

w Wieliczce; byłaby rada dowiedzieć się o tem dokładnie, ale nie miała ochoty się przyznać, że kaprysiła, panna Bronisława zaś mówiła cicho, żeby nie obudzić małej Wandeczki, która smacznie zasnęła.

— Kutno, 5 minut!! Boże! czy niema gdzie wolnego miejsca? biegam od wagonu do wagonu — odzywa się błagalny głos jakiejś pani.

— Może w tym przedziale się znajdzie — odpowiada konduktor i pomimo zapewnienia cioci, że i tak pełno, otwiera drzwiczki.

— Proszę pani — woła zdyszana staruszka — jadę tylko jedną stacyą, ciężko mi z tem mnóstwem tłumoczków biegać, a tu już dzwonią.

Widząc jój kłopot, ciocia uprzejmie podała rękę, pomogła wnieść kilka paczek, które ta pani miała ze sobą, a widząc, że Florcia siedzi najbliżej, kazała jój się troszkę usunąć.

— A jaż gdzie usiądę? — odzywa się nadąsana — na siatce z rzeczami się nie zmieszczę, nam i tak ciasno.

— Proszę pani, oto moje miejsce — odzywa się Boles — ja usiądę sobie tymczasem na kuferku.

(d. c. n.)

Łamigłówa kryształowa (Roman S.)

1. Litera. *J*
2. Miasto w gubernii podolskiej. *Bo*
3. Drzewo szpilkowe.
4.
5. Imię żeńskie.
6. Tytuł turecki.
7. Samogłoska.

Środkowe litery i rząd środkowy utworzą imię ukochanej królowej polskiej.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 9-go.

Zadania konikowego:

Nie zawsze to prawda, co i drukowane.

Skrzynka do listów.

P. Olszowski w Radziwilmontach. Tygodnik Illustrowany kosztuje rocznie rs. 12.—Biesiada 6, pierwszy zatem zaprenumerowany całorocznie, druga półrocznie za przysłane rs. 15.

Poziomka kujawska bardzo pięknie robi, że mając zdolności do muzyki, stara się w tej sztuce doskonalić. O ile bezmyślne brzdąkanie jest stratą czasu, o tyle znów talentu prawdziwego nie należy zaniedbywać. Każdy liścik, przy tylu pożytecznych zajęciach pisany, jest dla nas bardzo miły.

Owiczka zmartwiła Gołąbkę pocztową, która nie sądziła, aby jój zadanie mogło się komu wydać za trudne. Zresztą szło jój więcej o przykłady, aniżeli o określenia.

Brzydotka z nad Tamiży znajdzie dziś w Pisemku życzliwą odzwę towarzyszkę, w innej znów oddalonej stronie zamieszkałą.

My zaś wielką mamy ochotę tę miłą Brzydotkę Pieszczotką namianować. Pozostałe od prenumeraty 1 rs. 30 kop. dalsze, według życzenia biednej dziewczynce, która modli się za ofiarowczynię.

Niezapominajka biała musi pracować nad ułożeniem lepszej łamigłówni, dwie litery bez związku nie mogą zastąpić wyrazu, to byłoby zbyt łatwe. Co do liścików, ażeby były zamieszczone, trzeba je koniecznie pisać na osobnych kartkach i nigdy, na żadnym liście przysyłać więcej, niż jeden.

Jaskółkę z nad Sekwany przepraszamy za omyłką, którą już teraz i wyjaśnić trudno. Było to maleńkie nieporozumienie pomiędzy redakcją i administracją; zamiast *należy się* kop. 40 napisano, że tyleż *pozostało*. Czy też przybyły szczęśliwie nad Sekwanę „Dwie Siostry”, wysłane z nad Wisły, aby Jaskółczki przypominały ziemię rodzinną?

Rezedce z nad Kodemy dziękujemy bardzo za szczegóły o tym kochanym Promyczku, któremu serdecznego całuska zasyla my, nim liścik własną rączką napisze.

Detynę upewniamy, że żaden liścik nie pozostaje bez odpowiedzi, chociaż czasem opóźnić się musi dla braku miejsca. Po ukończeniu list 10-ciu Detyna może przeciwko należeć do innych konkursów, polecimy Gołąbce pocztowej, aby trudnych przedmiotów nie wybierała. Braciszkowi wieszujemy, że się tak szczęśliwie wykrcił.

Stefania i Halina z Petersburga przysłały trafne rozwiązanie łamigłówni zegarka.

Czarny Gołąbek dobrze układa łamigłówni, ale zanadto śpieszy, jeszcze poprzednie nie wydrukowane.

Czarnooka z Puszczy wcale nas liścikiem swoim nie znudziła, bo lubimy bliżej się zapoznawać z kochanymi korespondentkami. Cieszymy się, że Czarnooka podwójną korzyść z „Wieczorów” odnosi, czytając sama i opowiadając powiastki z dodatku młodszym siostrzyczce.

Janek z nad Mieni dobrze ułożył łamigłównę, opisy prawdziwych zdarzeń mogłyby się przydać, gdyby były zajmujące.

Pieszczoszcze za liścik starannie napisany dziękujemy, łamigłówna późnziej troszkę będzie drukowana.

Gronostaj Soból i Bóbr zapomnieli do szarady dodać rozwiązanie, a my na odgadywanie czasu nie mamy.

Droga Gwiazdka Śnieżna! Dlaczego tak długo mi nie odpisujesz? Z listu twego domyślałam się, że jesteś bardzo żywa, lubisz jeździć konno i masz zdolności do muzyki. Czy nie zgadłam? Ja także bardzo lubię muzykę, nie wyłączając etud. Napisz do mnie wkrótce, kochana Gwiazdeczko, donosząc mi o sobie i o swym rodzeństwie. Ja teraz mieszkam w Warszawie, uczę się dużo, lecz z wielką przyjemnością, bardzo lubię czytywać „Wieczory”. Która powieść ci się najwięcej podoba, bo mnie „W imię koleżeństwa. Całuję cię serdecznie, życzliwa Poziomka kujawska.

Kochana Brzydotko z nad Tamiży. Dziwić się może być, czytając te parę słówek od nieznaney ci zupełnie osoby. Ale i ja jestem urodzoną, jak ty podobno, w obcym kraju, i z wielką przyjemnością poznaję przez ukochane Wieczory nasze kraj naszych Ojców. To też nie mogłam się wstrzymać od przesłania ci serdecznego pozdrowienia. Może kiedyś zobaczymy się na brzegach Wisły. Donieś mi twój wiek i imię. Twoja Jaskółka z nad Sekwany. P. S. Na imię mi Julcia, kończę rok 17-ty.

Młodycę ukraińską, Krasnolicę i Detynę, pozdrawia nowa korespondentka Datura, i donosi, iż ma imię Julcia, lat 12, mieszka w Warszawie i pragnęłaby z niemi, dla ich ładnych pseudonymów, korespondować.

Kochany Baranku i Barwinku z nad Kodemy! Chciałabym wiedzieć, jak się nazywacie i gdzie mieszkacie. Ja się nazywam Janinka, mieszkam w Wradyówce, kończę rok 7-my. Czy macie siostrzyczki? Czekam waszjej odpowiedzi. Rezedka z nad Kodemy.

Lisie z Mazowsza! Stosując się do twego życzenia, donoszę ci, że nazywamy się: Maryan, Ignacy i Adaś. Mamy dwie siostry i jednego brata najmłodszego. Gronostaj, Soból i Bóbr.